NAJPIĘKNIEJSZA HISTORIA MIŁOSNA
Nagroda Pulitzera
MARGARET MITCHELL
PRZEMINĘŁO Z WIATREM
ALBATROS

Tytuł oryginału:
GONE WITH THE WIND

Copyright © 1936 by Macmillan Publishing Company, a division of Macmillan Inc.
Copyright renewed © 1964 by Stephens Mitchell & Trust Company of Georgia
as Executors of Margaret Mitchell Marsh
Copyright renewed © 1964 by Stephens Mitchell
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © The Estate of Celina Wieniewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Photos 12 / BE&W (*front*); © Joseph Sohm / Shutterstock (*tył*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com

Rozdział 1

Scarlett O'Hara nie była piękna, ale mężczyźni, zadurzeni w niej tak jak dwaj młodzi Tarletonowie, rzadko zdawali sobie z tego sprawę. W jej twarzy zbyt ostro odcinały się delikatne, arystokratyczne rysy, odziedziczone po matce Francuzce, od grubych, odziedziczonych po rumianym ojcu Irlandczyku. Twarz ta jednak, o mocnych szczękach i spiczastym podbródku, przykuwała do siebie uwagę. Oczy miała Scarlett jasnozielone, w oprawie czarnych, sztywnych, ku górze odwiniętych rzęs. Szerokie czarne brwi były nieco skośne i przecinały śmiałą, łamaną linią jej śnieżnobiałą skórę – skórę, która stanowiła przedmiot podziwu kobiet Południa i którą Scarlett troskliwie osłaniała czepeczkami, woalkami i mitenkami przed gorącym słońcem Georgii.

Siedząc w to słoneczne popołudnie kwietnia 1861 roku ze Stuartem i Brentem Tarletonami w chłodnym cieniu werandy w Tarze, Scarlett wyglądała jak obrazek. Nowa sukienka z zielonego muślinu w kwiatki, o bardzo sutej krynolinie, była dokładnie dobrana do koloru zielonych safianowych pantofelków na płaskich obcasach, które ojciec przywiózł jej niedawno z Atlanty. Doskonale uwydatniała talię Scarlett, mierzącą w obwodzie zaledwie siedemnaście cali – najcieńszą talię w trzech hrabstwach! – a ciasny stanik uwypuklał jędrne, dobrze jak na jej szesnaście lat rozwinięte piersi. Mimo jednak skromności, jaką tchnęła ta suknia, włosy gładko upięte w kok i białe rączki spokojnie skrzyżowane na kolanach – prawdziwą swoją naturę trudno było Scarlett ukryć. Zielone oczy w przykładnie uśmiechniętej twarzyczce wyrażały bunt, wolę, radość życia i wyraźnie kłóciły się z jej wytwornym zachowaniem. Maniery Scarlett były wypadkową łagodnych napomnień matki i surowych nakazów mu-

rzyńskiej piastunki; wyraz oczu należał wyłącznie do niej.

Bracia bliźniacy, wygodnie rozłożeni na krzesłach po obu stronach Scarlett, mrużąc oczy, patrzyli w słońce przez wysokie szklanki pełne wody miętowej, śmiali się i rozmawiali, niedbale krzyżując długie muskularne nogi w wysokich butach. Liczyli sobie po dziewiętnaście lat i przeszło sześć stóp wzrostu, byli szczupli i mocno zbudowani, włosy mieli kasztanowate, twarze bardzo opalone, oczy wesołe i zuchwałe; w swoich jednakowych granatowych marynarkach i spodniach koloru musztardowego tak byli do siebie podobni jak dwa ziarnka bawełny.

Na dworze promienie zachodzącego słońca skośnie padały na podwórze, zalewając blaskiem drzewka dereniu, odcinające się gęstą masą białego kwiecia od tła młodej zieleni. Konie chłopców stały przywiązane do słupka przy podjeździe; były to wielkie zwierzęta, kasztanowate jak włosy ich panów; pod nogami wierzchowców gryzła się sfora chudych, nerwowych psów gończych, które towarzyszyły Tarletonom wszędzie. Osobno, jak przystało arystokracie, leżał łaciaty wyżeł, złożywszy pysk na łapach, i czekał cierpliwie, aż chłopcy wyruszą do domu.

Między psami, końmi i dwoma chłopcami istniała więź głębsza, niż tego wymagało stałe ich współżycie. Byli wszyscy zdrowymi, beztrosko młodymi zwierzętami, zgrabnymi, gładkimi, wesołymi; chłopcy byli niemniej ogniści od koni, których dosiadali, ogniści i niebezpieczni, dla tych jednak, którzy umieli z nimi postępować – mili i łagodni.

Jakkolwiek cała trójka urodziła się i wyrosła w dostatku, jakkolwiek nie spuszczano ich od dzieciństwa z oczu, twarze ich nie były ani gnuśne, ani miękkie. Mieli w sobie siłę i żywość wieśniaków, którzy całe życie spędzili na otwartym powietrzu i nie łamali sobie głowy nudnymi problemami z książek. Życie w Clayton, północnym hrabstwie Georgii, było bardzo sielskie i wedle miary miast jak Augusta, Savannah czy Charleston trochę prymitywne. Spokojniejsze i wcześniej skolonizowane części Południa z góry patrzyły na mieszkańców Georgii, tutaj jednak brak znajomości greki i łaciny nie przynosił wstydu, o ile człowiek znał się na rzeczach istotnie ważnych. Do spraw ważnych zaś należała uprawa bawełny, dobre trzymanie się na koniu, celne strzelanie, lekkość w tańcu i galanteria w stosunku do dam oraz mocna, jak na dżentelmena przystało, głowa.

W tych sztukach Tarletonowie trzymali prym; wyróżniali się także przysłowiową niezdolnością nauczenia się czegokolwiek z kart książki. Rodzice ich mieli więcej pieniędzy, koni i niewolników niż ktokolwiek inny w hrabstwie, chłopcy jednak byli mniej wykształceni niż większość małorolnych sąsiadów.

Z tej właśnie przyczyny Stuart i Brent zbijali bąki tego popołudnia w Tarze. Właśnie zostali wydaleni z Uniwersytetu Georgii, czwartej z rzędu uczelni, która ich w ciągu dwóch ostatnich lat usunęła; a ich starsi bracia, Tom i Boyd, wrócili do domu razem z nimi, ponieważ nie chcieli zostać na uczelni, która tak się obeszła z ich braćmi. Stuart i Brent bardzo byli dumni z tego, że ich wyrzucono, Scarlett zaś, która nie zajrzała do książki od roku, to znaczy od skończenia pensji w Fayetteville, także uważała to wydalenie za zabawne.

– Wiem, że ani wy, ani Tom niezbyt się tym przejmujecie – powiedziała. – Ale co będzie z Boydem? Przecież on postanowił studiować, a przez was musiał przerwać studia w Wirginii, Alabamie, Karolinie Południowej i teraz znowu w Georgii. W tym tempie niczego nie będzie mógł skończyć.

– Och, prawa może się uczyć w kancelarii sędziego Parmalee w Fayetteville – odpowiedział niedbale Brent. – Poza tym to naprawdę nie ma znaczenia. I tak musielibyśmy wrócić do domu przed końcem trymestru.

– Dlaczego?

– Z powodu wojny, gąsko! Wojna wybuchnie lada dzień, a chyba nie przypuszczasz, że któryś z nas usiedziałby wtedy w budzie?

– Żadnej wojny nie będzie – rzekła Scarlett znudzona. – Tak się tylko mówi. Ashley Wilkes i jego ojciec powiedzieli papie w zeszłym tygodniu, że nasi przedstawiciele w Waszyngtonie dojdą do… do… pokojowego porozumienia z panem Lincolnem w sprawie Konfederacji. Poza tym Jankesi zanadto się nas boją, aby walczyć. Nie będzie żadnej wojny i nudzi mnie już słuchanie tych głupstw.

– Nie będzie wojny! – zawołali chłopcy z takim oburzeniem, jak gdyby ich ktoś zawiódł.

– Ależ kochanie, wojna będzie z pewnością – powiedział Stuart. – Jankesi boją się może z nami walczyć, ale teraz, gdy generał Beauregard zbombardował Fort Sumter, będą musieli walczyć, inaczej cały świat uzna ich za tchórzy. Przecież Konfederacja…

Scarlett wydęła usta ze zniecierpliwieniem.

– Jeżeli raz jeszcze powiecie słowo „wojna", pójdę do pokoju i zamknę za sobą drzwi. Żaden temat na świecie nie nudzi mnie tak jak „wojna", chyba może jeszcze „secesja". Papa mówi o tym rano, w południe i wieczorem, wszyscy panowie, którzy go odwiedzają, krzyczą o Fort Sumter, o prawach Stanów i Abrahamie Lincolnie, a ja tak się nudzę, że aż mi się płakać chce! Chłopcy też o niczym innym nie rozmawiają, tylko o tym i o swoim Oddziale. Na żadnym wieczorku ostatnio nie było zabawy, bo

chłopcy o niczym innym nie chcą mówić. Strasznie się cieszę, że Georgia dopiero po Bożym Narodzeniu przystąpiła do secesji, bo w przeciwnym razie świąteczne zabawy także byłyby stracone. Jeżeli jeszcze raz powiecie „wojna", pójdę do domu.

Gotowa była spełnić pogróżkę, bo nie potrafiła długo znosić rozmowy, która nie kręciłaby się dokoła niej. Mówiąc to, uśmiechała się jednak, kokietowała dołeczkami w policzkach i trzepotała czarnymi rzęsami jak skrzydłami motyla. Chłopcy byli tym wyraźnie zachwyceni, na co Scarlett zresztą liczyła, i pośpiesznie zaczęli ją przepraszać. Nie brali jej za złe tego braku zainteresowania. Przeciwnie, bardzo im zaimponował. Wojna była sprawą mężczyzn, nie pań, więc oświadczenie Scarlett uznali za dowód prawdziwej kobiecości.

Przerwawszy rozmowę na nudny temat wojny, Scarlett powróciła z zainteresowaniem do nowej sytuacji chłopców.

– Co powiedziała wasza matka na wiadomość, że znowu was wyrzucono?

Chłopcy spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, przypominając sobie zachowanie matki przed trzema miesiącami, po ich ostatnim przymusowym powrocie z uniwersytetu w Wirginii.

– Właściwie – rzekł Stuart – nie miała sposobności nic nam jeszcze powiedzieć. Wszyscy trzej z Tomem wyjechaliśmy z domu wcześnie, zanim mama wstała. Tom pojechał do Fontaine'ów, a my przyjechaliśmy tutaj.

– Czy nic nie mówiła, kiedyście wczoraj przyjechali do domu?

– Wczoraj nam się upiekło. W chwili gdyśmy przyjechali, przyprowadzono także nowego ogiera, którego mama kupiła miesiąc temu w Kentucky, i na nim skupiła się uwaga całego domu. To wspaniała bestia, cudowny koń, Scarlett. Musisz poprosić swego ojca, aby przyjechał go obejrzeć… Już zdążył ugryźć stajennego i skopać dwóch Murzynów mamy, którzy czekali na jego przybycie w Jonesboro. I właśnie przed naszym przyjazdem omal nie stratował całej stajni i nie zabił Kasztana, starego ogiera mamy. Kiedyśmy zajechali do domu, mama była w stajni z torbą cukru i starała się go ugłaskać, ze skutkiem zresztą. Murzyni poobsiadali wszystkie krokwie, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, a mama mówiła do konia, jak gdyby mógł ją zrozumieć, i karmiła go z ręki. Nikt nie potrafi się tak z koniem obchodzić jak mama. A kiedy nas zobaczyła, powiedziała: „Wielkie Nieba, a cóż wy tutaj robicie? Gorsi jesteście od plag egipskich!". Koń w tej samej chwili zaczął parskać i wspinać się, więc powiedziała: „Wynoście się stąd! Czy nie widzicie, jaki on podniecony, ten

mój najpiękniejszy? Rozmówię się z wami jutro rano!". Położyliśmy się zatem spać, dziś wyjechaliśmy, aby nas mama nie złapała, a Boyda zostawiliśmy, żeby ją udobruchał.

– Czy sądzicie, że zbije Boyda? – Scarlett, jak i reszta hrabstwa, nie mogła zrozumieć, jak mała pani Tarleton potrafi wymyślać swoim dorosłym synom i zdziela ich szpicrutą przez plecy, gdy okazja tego wymaga.

Beatrice Tarleton była kobietą energiczną. Zajmowała się nie tylko wielką plantacją bawełny, setką Murzynów i ośmiorgiem dzieci, ale i największą w całym hrabstwie hodowlą koni. Była gwałtowna, łatwo wpadała w gniew z powodu częstych „wykroczeń" swoich czterech synów i jakkolwiek nikomu nie pozwalała smagać batem ani konia, ani niewolnika, uważała, że dobre lanie od czasu do czasu wcale chłopcom nie zaszkodzi.

– Boyda nie zbije na pewno. Nigdy jeszcze na Boyda nie podniosła ręki, bo jest najstarszy, a poza tym najmniejszy z nas – rzekł Stuart, dumny ze swoich sześciu stóp wzrostu. – Dlatego właśnie zostawiliśmy go w domu, aby jej wszystko wytłumaczył. Boże jedyny, właściwie to mama mogłaby już nas przestać tłuc! Mamy po dziewiętnaście lat, Tom ma dwadzieścia jeden, a mama ciągle nas traktuje, jakbyśmy mieli po sześć!

– Czy wasza mama pojedzie na nowym koniu na jutrzejsze barbecue do Wilkesów?

– Mama chciałaby, ale ojciec powiada, że koń jest zbyt ostry. Poza tym nie pozwolą jej na to dziewczynki. Chcą, aby na jedną przynajmniej zabawę pojechała powozem jak dama.

– Mam nadzieję, że jutro deszczu nie będzie – powiedziała Scarlett. – Od tygodnia już pada prawie dzień w dzień. Nie ma nic gorszego nad barbecue, które się przekształca w zabawę w salonie.

– Ach nie, jutro będzie ładnie i gorąco jak w czerwcu – uspokoił ją Stuart. – Spójrz, jaki dziś zachód słońca. Nigdy nie widziałem podobnie krwawego. Ładny zachód zawsze wróży pogodę.

Spojrzeli wszyscy poprzez niekończące się akry świeżo zoranych pól Geralda O'Hary w stronę czerwonego horyzontu. Teraz, kiedy słońce w plamie purpury skryło się za wzgórza na przeciwległym brzegu rzeki Flint, ciepło kwietniowego dnia przeistoczyło się w lekki, pachnący chłód.

Wiosna przyszła tego roku wcześnie; przyniosła ze sobą ciepłe, krótkie deszcze i nagłe wytryskanie różowych kwiatów brzoskwiń i białych gwiazdek dereni na bagnistych gruntach nad rzeką i na dalekich pagórkach. Orka miała się już ku końcowi i ognista wspaniałość zachodu barwiła kolorem szkarłatu świeżo odwalone skiby czerwonawej georgijskiej gliny. Wilgotna, głodna ziemia, oczekująca ziaren bawełny, była różowa-

wa na wierzchu pierzastych bruzd, cynobrowoszkarłatna i brązowa tam, gdzie po bokach rowków leżały cienie. Pobielony wapnem murowany dom plantacji wydawał się wyspą na groźnym, czerwonym morzu spienionych, falujących bałwanów, znieruchomiałych w chwili, gdy fale o różowych czubach miały rozbić się w pianę. Bruzdy nie były tutaj długie i proste jak na żółtych polach środkowej Georgii czy na błyszczącym czarnoziemie plantacji bliżej wybrzeża. Nierówną, pagórkowatą krainę północnej Georgii orano w najrozmaitszych kierunkach, aby tłusta ziemia nie była zmywana w łożyska rzek.

Ziemia ta, czerwona, koloru krwi po deszczu, pokryta ceglastym pyłem w czasie suszy, była najlepszą w świecie ziemią pod uprawę bawełny. Była to przyjemna kraina białych dworków, spokojnych pól uprawnych i leniwych, żółtych rzek, kraina kontrastów – ostrego blasku słońca i gęstych cieni. Karczowiska i akry pól bawełny uśmiechały się do gorącego słońca spokojne, ciche. Na skraju pól rosły dziewicze lasy, ciemne i chłodne nawet w najgorętsze południa, tajemnicze, trochę groźne, a szumiące sosny zdawały się czekać z odwieczną cierpliwością, straszyć cichymi westchnieniami: „Strzeż się! Strzeż! Rządziłyśmy tobą długo. Możemy cię znowu odzyskać".

Do uszu trojga na werandzie doszedł tętent kopyt, dzwonienie uprzęży i ostre, beztroskie śmiechy murzyńskie: to parobcy z mułami wracali z pól. Z wnętrza domu płynął łagodny głos matki Scarlett, Ellen O'Hary, wołającej małą czarną dziewczynkę, która nosiła za nią klucze. Wysoki, dziecinny głosik odpowiedział: „Tak, psze pani", i zaraz rozległy się odgłosy kroków kierujących się tylnymi drzwiami do wędzarni, gdzie Ellen zwykła była wydzielać jedzenie wracającym z pola pracownikom. Słychać było dźwięk porcelany i szczękanie srebra, kiedy Pork, lokaj Geralda, zaczął nakrywać stół do kolacji.

Słysząc te dźwięki, bracia uświadomili sobie, że czas wyruszyć w powrotną drogę do domu. Nie bardzo im się chciało stanąć przed matką, ociągali się więc na werandzie w Tarze, czekając, aby Scarlett zaprosiła ich na kolację.

– Słuchaj, Scarlett. Jeszcze coś co do jutra – rzekł Brent. – Dlatego, że nie było nas tutaj i że nie wiedzieliśmy o zabawie u Wilkesów, nie mamy zamiaru być pokrzywdzeni. Nie masz chyba wszystkich tańców już zajętych, co?

– Niestety, mam. Skądże mogłam wiedzieć, że wy się zjawicie w domu? Nie mogłam się przecież narazić na podpieranie ściany dlatego, że na was czekam.

– Ty miałabyś podpierać ścianę?! – Chłopcy zaśmiali się głośno.

– Słuchaj, kochanie. Musisz dla mnie zarezerwować pierwszego walca, a dla Stuarta ostatniego i musisz siedzieć między nami przy stole. Będziemy siedzieli u wylotu schodów tak jak na poprzednim balu i sprowadzimy sobie starą Jincy, aby nam znowu powróżyła.

– Nie lubię przepowiedni starej Jincy. Powiedziała mi, że wyjdę za pana o kruczych włosach i długich czarnych wąsach, a ja nie lubię brunetów.

– Wolisz rudych, prawda, kochanie? – Brent się zaśmiał. – Ale teraz przyrzeknij nam walca i kolację.

– Jeżeli przyrzekniesz, zdradzimy ci pewien sekret – rzekł Stuart.

– Jaki?! – zawołała Scarlett, nagle ożywiona jak dziecko.

– Czy mówisz o tym, co słyszeliśmy wczoraj w Atlancie, Stu? Wiesz przecież, że tego obiecaliśmy nie powtarzać.

– Ale przecież powiedziała nam o tym panna Pitty.

– Jaka panna Pitty?

– Wiesz, ta kuzynka Ashleya Wilkesa, która mieszka w Atlancie, panna Pittypat Hamilton, ciotka Charlesa i Melanii Hamiltonów.

– Wiem. Nigdy w życiu nie widziałam śmieszniejszej starej panny.

– A więc kiedyśmy wczoraj w Atlancie czekali na pociąg do domu, jej powóz przejeżdżał koło dworca, zatrzymała się, porozmawiała z nami i powiedziała nam, że jutro u Wilkesów zostaną ogłoszone pewne zaręczyny.

– Och, o tym przecież wiem – rzuciła Scarlett z zawodem. – Tego jej głupiego bratanka Charlesa Hamiltona z Honey Wilkes. Wszyscy już od lat twierdzą, że oni się pobiorą, chociaż Charles wcale się do tego nie pali.

– Czy naprawdę uważasz, że Charles jest głupi? – zapytał Brent. – Na Boże Narodzenie pozwalałaś mu się koło siebie kręcić.

– Na to, że się kręci, nie mogłam nic poradzić – odparła Scarlett niedbale. – Uważam go za straszną babę.

– To zresztą wcale nie jego zaręczyny zostaną ogłoszone – rzekł z triumfem Brent – tylko Ashleya z siostrą Charliego, panną Melanią.

Twarz Scarlett nie zmieniła się wcale, tylko wargi jej pobladły – czuła się jak osoba, która nagle otrzymała przeraźliwy cios i w pierwszych chwilach osłupienia nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało. Twarz jej, zwrócona ku Stuartowi, była tak nieruchoma, że ten, niezbyt uważny, pewien był, że Scarlett jest jedynie bardzo zdziwiona i zaciekawiona.

– Panna Pitty powiedziała nam, że chcieli to ogłosić dopiero na przyszły rok, bo panna Mela czuła się ostatnio niezbyt dobrze. Jednak gdy

tyle się mówi o wojnie, obydwie rodziny uważają, że lepiej będzie, jeżeli ślub odbędzie się szybko. Jutro więc wieczorem podczas kolacji zaręczyny zostaną ogłoszone. Teraz, Scarlett, skorośmy ci już powiedzieli sekret, musisz nam przyrzec, że usiądziesz z nami do stołu.

– Bardzo chętnie – powiedziała Scarlett bez zastanowienia.

– I wszystkie walce będą nasze?

– Wszystkie.

– Jesteś słodka! Założyłbym się, że inni chłopcy się powściekają.

– Niech się wściekają – rzekł Brent. – Damy sobie z nimi radę. Słuchaj, Scarlett, usiądź przy nas także i rano.

– Co takiego?

Stuart powtórzył prośbę.

– Z chęcią.

Bracia spojrzeli po sobie triumfalnie, ale z pewnym zdziwieniem. Mimo że uważali się za wyróżnianych przez Scarlett kawalerów, nigdy dotąd nie mieli tak przekonywających dowodów jej sympatii. Zwykle musieli długo prosić i nastawać, a ona ich zwodziła, nie chcąc nigdy powiedzieć ani „tak", ani „nie", śmiejąc się, gdy się dąsali, stając się zimną, gdy zaczynali być źli. A teraz nagle przyrzekła właściwie, że im poświęci cały swój jutrzejszy czas – będzie z nimi siedziała rano przy uczcie, obiecała wszystkie walce (a już oni postarają się o to, aby grano tylko walce!) i kolację. Takie osiągnięcie warte było wyrzucenia z uniwersytetu.

Pełni nowego animuszu po tym sukcesie, nie śpieszyli się z pożegnaniem, mówili o balu i barbecue, o Ashleyu Wilkesie i Melanii Hamilton, przerywając sobie nawzajem, robiąc dowcipy i śmiejąc się z nich, dając do zrozumienia, że czekają na zaproszenie na kolację. Upłynęła spora chwila, zanim się spostrzegli, że Scarlett mówi teraz bardzo mało. Nastrój jakoś się zmienił. Jak to się stało – bracia nie wiedzieli, ale przyjemna atmosfera wizyty uleciała bezpowrotnie, Scarlett zdawała się zwracać mało uwagi na to, co mówili, jakkolwiek odpowiadała sensownie. Wyczuwając coś, czego nie mogli zrozumieć, zniechęceni tym i zmartwieni, chłopcy walczyli ze sobą przez chwilę, po czym niechętnie wstali, spoglądając na zegarki.

Słońce stało już nisko nad świeżo zaoranymi polami; wysokie lasy rysowały się ciemną linią za rzeką. Nad podwórzem chyżo krążyły jaskółki, a kurczęta, kaczki i indyki tłoczyły się i puszyły, wracając z pól.

Stuart krzyknął: „Jeems!". Po krótkiej chwili wysoki czarny chłopak, w tym samym co bracia wieku, przybiegł bez tchu zza domu i skierował się biegiem do spętanych koni. Jeems był przybocznym sługą młodych Tarletonów, podobnie jak psy towarzyszył im wszędzie. Był od dzieciń-

stwa towarzyszem ich zabaw: dostali go na własność na swoje dziesiąte urodziny. Na widok Murzyna psy podniosły się z pokrytej czerwonym pyłem ziemi i spojrzały wyczekująco w stronę swoich panów. Chłopcy skłonili się, pożegnali, przypominając Scarlett, że będą czekali na nią u Wilkesów z samego rana. Potem szybko zbiegli po podjeździe, wsiedli na konie i galopem puścili się aleją cedrową, powiewając kapeluszami i wołając jeszcze do Scarlett.

Kiedy minęli zakręt zapylonej drogi i Tara znikła im z oczu, Brent zatrzymał konia pod kępą dereni. Stuart także przystanął, a za nim, w odległości kilku kroków, i czarny chłopak. Konie, poczuwszy zwolnienie uprzęży, pochyliły głowy, aby poskubać miękkiej, wiosennej trawy, cierpliwe zaś psy legły znowu w czerwonym pyle i patrzyły pożądliwie na jaskółki wirujące w gęstniejącym mroku. Szeroka, szczera twarz Brenta wyrażała zdziwienie i lekkie oburzenie.

– Słuchaj – rzekł – czy nie uważasz, że Scarlett powinna nas była zaprosić na kolację?

– Przypuszczałem, że nas zaprosi – odparł Stuart. – Czekałem, aż to zrobi, ale jakoś nic nie powiedziała. Jak to sobie tłumaczysz?

– Wcale sobie tego nie tłumaczę. Wydaje mi się jednak, że powinna nas była poprosić. Ostatecznie jest to nasz pierwszy wieczór po przyjeździe, a nie widziała nas od dawna. Mieliśmy jej jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia.

– Zdawało mi się, że bardzo się ucieszyła, kiedyśmy przyjechali.

– I ja tak myślałem.

– A potem, może pół godziny temu, nagle ucichła, jak gdyby ją głowa rozbolała.

– Zauważyłem to także, ale nie zwróciłem uwagi. Jak myślisz, co jej się mogło stać?

– Nie wiem. Czyżbyśmy powiedzieli coś takiego, co ją rozzłościło?

Obydwaj zastanawiali się przez chwilę.

– Nic mi nie przychodzi na myśl. Poza tym, kiedy Scarlett jest zła, poznać to od razu. Nie stara się panować nad sobą jak inne panny.

– Tak, i to w niej właśnie lubię. Nie jest napuszona i sztywna, kiedy jest zła, tylko od razu mówi, o co chodzi. Pewien jednak jestem, że tak na nią podziałało coś, co zrobiliśmy czy powiedzieliśmy, bo zamilkła i wyglądała jak chora. Mógłbym przysiąc, że cieszyła się, kiedy nas zobaczyła, i że z początku chciała nas zatrzymać na kolacji.

– A może nas nie poprosiła dlatego, że nas wyrzucono z uniwerku?

– Ach, skądże znowu! Nie bądź głupi. Śmiała się przecież, kiedyśmy

jej o tym powiedzieli. Poza tym Scarlett tak jak my nie dba o książki.

Brent odwrócił się w siodle i zawołał młodego Murzyna:

– Jeems!

– Słucham?

– Czy słyszałeś, o czym rozmawialiśmy z panną Scarlett?

– Ależ skąd, paniczu! Czyż ja bym podsłuchiwał rozmowę białych ludzi?

– Czy podsłuchiwałbyś? Boże drogi! Wy, Murzyni, wiecie o wszystkim, co się dzieje. Kłamco jeden, na własne oczy widziałem, jak przekradałeś się koło werandy i przycupnąłeś za krzakiem jaśminu przy murze. A więc, czy słyszałeś, żeśmy powiedzieli coś takiego, co pannę Scarlett mogło rozzłościć czy urazić?

Zapytany w ten sposób Jeems przestał się upierać, że nie słyszał rozmowy, i zmarszczył czarne czoło.

– Nie, paniczu, nic takiego nie słyszałem, co by ją mogło rozzłościć. Tak mi się zdaje, jakby się panna Scarlett cieszyła, że paniczów widzi, i świergotała wesoło jak ptaszek aż do czasu, gdy panicze powiedzieli, że pan Ashley i panna Mela Hamilton się ze sobą ożenią. Potem panna Scarlett umilkła jak ptak, który widzi jastrzębia.

Bracia spojrzeli na siebie i skinęli głowami, jeszcze nie rozumiejąc.

– Jeems ma rację. Ale nie rozumiem dlaczego – rzekł Stuart. – Mój Boże! Ashley nie jest przecież dla niej niczym więcej jak przyjacielem. Nie kocha się w nim przecież. Kocha się w nas.

Brent kiwnął głową.

– Ale może – zaczął – Ashley nie powiedział jej, że ogłosi zaręczyny jutro wieczorem, i Scarlett jest zła na niego, że nie zawiadomił o tym jej, swojej starej przyjaciółki, zanim powiedział o tym innym? Dziewczęta wielką wagę przywiązują do tego, aby o takich rzeczach dowiadywać się najwcześniej.

– Wiesz, że to możliwe. Ale cóż z tego, że nic jej nie powiedział? Miał to być sekret i niespodzianka, a mężczyzna ma prawo trzymać swoje zaręczyny w tajemnicy, prawda? My byśmy także o tym nic nie wiedzieli, gdyby ciotka Meli nie wygadała się przed nami. Scarlett z pewnością wiedziała, że Ashley ma się ożenić z Melą. My sami wiemy o tym od lat. Wilkesowie i Hamiltonowie zawsze się pobierają między sobą. Wszyscy wiedzieli, że Ashley kiedyś się z Melą ożeni, tak samo jak o tym, że Honey Wilkes wyjdzie za jej brata, Charlesa.

– Dobrze, ale nie mówmy już o tym. Szkoda jednak, że nie zaprosiła nas na kolację. Przysięgam, że nie mam ochoty wracać do domu i wysłu-

chiwać wymówek mamy, że znowu nas wylano. Tym bardziej że zdarza się to już nie pierwszy raz…

– Może Boyd udobruchał już mamę. Wiesz przecież, jaki z niego świetny adwokat. Zawsze potrafi ją ugłaskać.

– Tak, to prawda, ale musi mieć na to dużo czasu. Musi gadać i gadać, aż mama przestaje wiedzieć, o co chodzi, poddaje się i każe mu swoją wymowę zachować na sąd. Mam jednak wrażenie, że Boyd jeszcze nie zdążył zacząć. Założę się nawet, że mama tak jest podniecona nowym koniem, że przypomni sobie o nas dopiero przy kolacji, kiedy spostrzeże Boyda. Podczas jedzenia będzie wymyślała i parskała. Zrobi się dziesiąta, zanim Boyd będzie jej mógł powiedzieć, że byłoby poniżej naszej godności, gdyby który z nas został w budzie po tym, co nam dwóm powiedział rektor. I dopiero około północy tak jej głowę zawróci, że będzie wściekła na rektora i będzie się pytała Boyda, dlaczego go nie zastrzelił. Nie, nie możemy wracać do domu przed północą.

Bracia popatrzyli na siebie ponuro. Nie bali się ani dzikich koni, ani pijatyk ze strzelaniem, ani opinii sąsiadów, ale surowe słowa matki, poparte razami szpicruty, którą okładała ich poniżej pleców, napawały ich niekłamanym lękiem.

– No więc słuchaj – powiedział Brent. – Pojedziemy do Wilkesów. Ashley i dziewczęta chętnie nas zaproszą na kolację.

Stuart był zakłopotany.

– Nie, tam nie jedźmy. Mają pewnie zawracanie głowy w związku z jutrzejszą zabawą, a prócz tego…

– Ach, zapomniałem o tym – szybko powiedział Brent. – Nie, wobec tego nie jedźmy tam.

Cmoknęli na konie i przez chwilę jechali w milczeniu. Na ciemnych policzkach Stuarta ukazał się rumieniec zakłopotania. Jeszcze niecały rok temu Stuart starał się o Indię Wilkes, za aprobatą obydwu rodzin i całej okolicy. Twierdzono, że zimna i opanowana India Wilkes wywrze na niego zbawienny wpływ. Tego w każdym razie wszyscy pragnęli. Sam Stuart także by się może zdecydował na tę partię, ale Brent nie był zadowolony. Brent lubił Indię, uważał ją jednak za bardzo brzydką i nudną i po prostu nie mógł się w niej zakochać, by dotrzymać towarzystwa Stuartowi. Wtedy to po raz pierwszy zdarzyło się, że zainteresowania braci nie były zgodne, Brent był więc trochę urażony atencją brata dla panienki, która nie wydawała mu się ich godna.

Aż tu latem ubiegłego roku, na zebraniu politycznym w lasku dębowym pod Jonesboro, obaj nagle zauważyli Scarlett O'Harę. Znali ją od

wielu lat i jeszcze w dzieciństwie bardzo lubili się z nią bawić, bo umiała jeździć konno i wspinać się na drzewa nie gorzej od nich. Teraz jednak ku wielkiemu zdumieniu stwierdzili, że stała się dorosłą panną i w dodatku najbardziej uroczą na świecie.

Po raz pierwszy zauważyli, jak skrzą się jej zielone oczy, jakie ma dołeczki, kiedy się śmieje, jak małe ręce i stopy i jak cienki stan. Żarty ich wywoływały z jej strony wybuchy wesołego śmiechu, więc podnieceni myślą, że uważa ich za niezwykłych chłopców, przeszli samych siebie.

Był to pamiętny dzień w życiu braci Tarletonów. Odtąd, ilekroć rozmawiali o nim, nie przestawali się dziwić, że dopiero wtedy zauważyli wdzięki Scarlett. Nie przyszło im jednak wcale na myśl, iż stało się to dlatego, że Scarlett tego dnia postanowiła ich zdobyć. Nie znosiła po prostu, aby jakikolwiek młody człowiek nie był w niej zakochany, więc widok Indii Wilkes i Stuarta na zebraniu rozbudził w niej instynkty zaborcze. Nie zadowalając się samym Stuartem, zagięła parol także i na Brenta, a okazała tak gruntowną znajomość sztuki zdobywania, że całkowicie podbiła obu chłopców.

Teraz obaj byli zakochani w Scarlett, a India Wilkes i Letty Munroe z Lovejoy, z którą Brent zresztą niezbyt chętnie flirtował, odsunięte zostały na dalszy plan. Nad tym, co pocznie ten z nich, którego Scarlett odrzuci, bracia nie zastanawiali się wcale. Na nieprzyjemne myśli zawsze jest mnóstwo czasu. Chwilowo byli zadowoleni, że podoba im się ta sama panna, bo wcale nie byli o siebie zazdrośni. Sytuacja ta pasjonowała sąsiedztwo i martwiła ich matkę, która nie darzyła Scarlett zbytnią sympatią.

– Zobaczycie, co to będzie, kiedy ta sprytna szelma wybierze jednego z was – mawiała pani Tarleton. – Może zresztą przyjmie was obu, a wtedy będziecie się musieli wynieść do Utah, jeżeli mormoni was zechcą, w co śmiem wątpić… Jedyne, co mnie obchodzi, to fakt, że w niedalekiej przyszłości staniecie się o siebie zazdrośni z powodu tej dwulicowej małej bestyjki o zielonych oczach i pozabijacie się po pijanemu nawzajem. Co zresztą bardzo mi się uśmiecha.

Od dnia tego zebrania Stuart zaczął się czuć nieswojo w obecności Indii. Nie znaczy to bynajmniej, że India słowem czy gestem dała mu kiedykolwiek odczuć, że zauważyła nagłą zmianę jego uczuć. Na to była zbyt dobrze wychowana. Stuart jednak poczuwał się do winy w stosunku do niej. Wiedział, że rozbudził jej uczucia, wiedział, że dziewczyna kocha go jeszcze, i w głębi serca czuł, że nie zachował się wobec niej szlachetnie. Lubił ją bardzo i szanował za chłodną dystynkcję, za wykształcenie i wszystkie zalety, jakie posiadała. Ale, u licha, była bladziutka, niełądna i

zawsze jednakowa, podczas gdy Scarlett była błyskotliwa i żywa. Zachowanie Indii można było zawsze z góry przewidzieć – Scarlett była wciąż inna. To wprawdzie doprowadzało człowieka do rozpaczy, ale miało swój urok.

– No więc pójdźmy na kolację do Cade'a Calverta. Scarlett powiedziała, że Cathleen wróciła już z Charlestonu. Może będzie wiedziała coś nowego o Fort Sumter.

– Cathleen? Założę się z tobą, że ona nie wie nawet, iż Fort leży u wejścia do portu, tym bardziej zaś, że pełno w nim było Jankesów. Jedyne, co ją zajmuje, to bale, na których była, i adoratorzy, których zdobyła.

– To prawda, ale ona bardzo zabawnie paple. A zresztą chodzi o to, abyśmy przeczekali gdzieś, aż mama pójdzie spać.

– Nie, nie! Lubię Cathleen, bo to zabawna dziewczyna, chciałbym usłyszeć nowinki o Caro Rhett i innych charlestońskich znajomych, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli potrafię się zmusić do siedzenia przy kolacji z tą jej jankeską macochą.

– Nie bądź dla niej zbyt surowy, Stuarcie. Ma dobre intencje.

– Wcale jej surowo nie sądzę. Żal mi jej tylko, a nie lubię ludzi, których mi żal. Tak bardzo się stara robić to, co trzeba, i dobrze zabawiać gości, że zawsze zaczyna mówić i robić rzeczy niewłaściwe. Denerwuje mnie. Uważa ponadto, że ludzie z Południa są dzikimi barbarzyńcami. Powiedziała to nawet mamie. Boi się południowców. Ilekroć tam przyjeżdżamy, ma taką minę, jak gdyby się nas śmiertelnie obawiała. Przypomina mi chudą kurę o przerażonych jasnych oczach bez wyrazu, gotową gdakać i trzepotać skrzydłami za lada ruchem z czyjejkolwiek strony.

– Nie możesz mieć o to do niej żalu. Postrzeliłeś przecież Cade'a w nogę.

– Tak, ale wtedy byłem wstawiony. Inaczej nigdy bym tego nie zrobił – rzekł Stuart. – Cade zresztą nie miał do mnie wcale żalu, jak również Cathleen, Raiford i pan Calvert. Tylko ta ich jankeska macocha podniosła krzyk i gadała, że jestem dzikim barbarzyńcą i że przyzwoici ludzie nie są bezpieczni wśród niecywilizowanych południowców.

– Nie możesz jej mieć tego za złe. Jest Jankeską i nie ma zbyt dobrych manier. A poza tym postrzeliłeś naprawdę Cade'a, który jest jej pasierbem.

– No dobrze już, dobrze! Ale to wszystko nie daje jej jeszcze prawa, aby mnie obrażać! Ty jesteś mamy rodzonym synem, a mama wcale się nie przejęła, kiedy Tony Fontaine zranił ciebie w nogę! Posłała tylko po starego doktora Fontaine'a, aby cię opatrzył, i zapytała go, dlaczego Tony tak

marnie celuje. Powiedziała, że to pewno wódka źle podziałała na celność jego strzału. Pamiętasz, jak to Tony'ego rozgniewało?

Obaj chłopcy zaśmiali się głośno.

– Nasza mama to dobry numer! – rzekł Brent z pełnym czułości podziwem. – Można zawsze liczyć na nią: umie się znaleźć i nie robi człowiekowi wstydu przed innymi.

– Tak, ale bardzo się boję, że dzisiaj, gdy wrócimy do domu, zrobi nam wstyd w obecności ojca i dziewcząt – rzekł Stuart posępnie. – Słuchaj, Brent. Mam wrażenie, że będziemy musieli się pożegnać z podróżą do Europy. Wiesz, że mama nam zapowiedziała, że nie pojedziemy, jeżeli nas wyrzucą z jeszcze jednej uczelni.

– No więc co z tego? Czy nam na tym zależy? Cóż tam jest do oglądania w Europie? Założę się, że wszyscy cudzoziemcy razem nie mogą nam nic takiego pokazać, czego byśmy nie mieli tutaj, w Georgii. Założę się, że konie ich nie są tak szybkie ani dziewczęta tak piękne, i mógłbym przysiąc, że ich żytniówka nie umywa się do żytniówki ojca.

– Ashley Wilkes mówi, że w Europie są piękne krajobrazy i dobra muzyka. Podobało mu się tam bardzo. Ciągle opowiada o swojej podróży.

– No tak, ale wiesz przecież, jacy są Wilkesowie. Trochę zwariowani, jeżeli chodzi o muzykę, książki czy widoki. Mama mówi, że to dlatego, że ich dziadek pochodził z Wirginii. Uważa, iż wszyscy ludzie z Wirginii zbyt wielką wagę przywiązują do tych rzeczy.

– Niech zostaną przy swoich gustach. Daj mi dobrego konia, dobry trunek, przyzwoitą pannę do flirtu i mniej porządną do rozkoszy, a daruję im tę ich Europę… Czy nam właściwie zależy na tej podróży? A przypuśćmy, że bylibyśmy w Europie właśnie teraz, kiedy zbliża się wojna? Nie moglibyśmy zdążyć na czas do domu. Wolę wojnę niż podróż do Europy.

– Ja także, oczywiście… Słuchaj, Brent! Wiem już, dokąd moglibyśmy pojechać na kolację. Przeprawmy się przez moczary do Abla Wyndera. Powiemy mu, że wróciliśmy wszyscy do domu i jesteśmy gotowi do musztry.

– To świetny pomysł! – wykrzyknął Brent z entuzjazmem. – Opowie nam wszystkie nowości i dowiemy się, jaki kolor został ostatecznie wybrany na mundury.

– Jeżeli taki jak żuawów, to raczej skonam, niż się zaciągnę. Czułbym się jak pajac w tych workowatych czerwonych spodniach. Wyglądają jak damskie barchanowe majtki.

– Czy panicze chcą jechać do pana Wyndera? To panicze nic nie dostaną na kolację – rzekł Jeems. – Kucharka ich umarła i jeszcze sobie

nie kupili drugiej. Gotuje im robotnica z pola i mówili mi Murzyni, że to najgorsza kucharka w całym hrabstwie.

– Więc dlaczego, na Boga, nie kupią sobie lepszej?

– Skąd by „biała nędza" mogła sobie pozwolić na Murzynów? Nigdy tam nie było więcej czarnych niż najwyżej czworo.

W głosie Jeemsa brzmiała wyraźna pogarda. Jego własna pozycja społeczna była niezachwiana, ponieważ Tarletonowie mieli ponad stu Murzynów, dlatego więc, podobnie jak wszyscy niewolnicy z wielkich plantacji, patrzył z góry na farmerów posiadających tylko kilku Murzynów.

– Wygarbuję ci skórę za to, coś powiedział! – zawołał ze złością Stuart. – Nie nazywaj mi Abla Wyndera „białą nędzą". Pewnie, że jest biedny, ale pochodzi z porządnej rodziny i niech mnie kule biją, jeżeli pozwolę komukolwiek, białemu czy czarnemu, wygadywać na niego. W całym hrabstwie nie ma lepszego od niego człowieka. Inaczej bowiem Oddział nie mianowałby go porucznikiem.

– Tego to wcale nie rozumiem – odparł Jeems, nie bacząc na gniew swego pana. – Tak mi się zdaje, że oficerami powinni być prawdziwi panowie, a nie nędza z moczarów.

– On nie jest żadną „nędzą"! Jakże można go porównywać z prawdziwą „białą nędzą" jak rodzina Slatterych? Abel nie ma tylko majątku. Jest małym farmerem, a nie wielkim plantatorem, i jeżeli chłopcy cenią go tak wysoko, że obwołali go porucznikiem, to nie jest rzeczą byle Murzyna źle o nim mówić. Oddział wie, co robi.

Oddział kawalerii zorganizowano przed trzema miesiącami w dniu, gdy Georgia odłączyła się od Unii, i od tego czasu ochotnicy marzyli o wojnie. Oddział nie miał jeszcze dotąd żadnej nazwy, jakkolwiek pomysłów nie brakło. Każdy miał na ten temat inną ideę, od której nie chciał odstąpić, każdy też dawał projekt kroju i koloru mundurów. „Dzikie koty z Claytonu", „Pożeracze ognia", „Huzarzy północnej Georgii", „Żuawi", „Strzelcy krajowi" (jakkolwiek oddział uzbrojony miał być w pistolety, szable i długie noże, a nie strzelby), „Szarzy z Claytonu", „Krwawe pioruny", „Nieustraszeni" – wszystkie te nazwy miały swoich zwolenników. Do czasu ostatecznego wyjaśnienia tej sprawy wszyscy określali organizację jako Oddział i mimo górnolotnej nazwy, którą ostatecznie wybrano, wojsko Georgii zawsze zwane było Oddziałem.

Oficerowie wybierani byli przez członków organizacji, ponieważ nikt w całym hrabstwie, z wyjątkiem kilku weteranów wojny meksykańskiej i seminolskiej, nie miał doświadczenia wojennego, ponadto Oddział nie re-

spektowałby dowódcy, którego by większość członków nie lubiła i dobrze nie znała. Wszyscy lubili czterech młodych Tarletonów i trzech Fontaine'ów, ale z żalem musieli zrezygnować z ich wyboru, bo Tarletonowie mieli zbyt słabe głowy i po pijanemu płatali psie figle, Fontaine'owie zaś byli porywczymi zabijakami. Ashley Wilkes został wybrany na kapitana, ponieważ był najlepszym jeźdźcem w hrabstwie, chód zaś jego i opanowanie dawały jaką taką gwarancję, że potrafi utrzymać porządek. Raiford Calvert został porucznikiem, bo był przez wszystkich lubiany, Abel Wynder zaś, syn trapera z moczarów i właściciel małej farmy – porucznikiem.

Abel był obrotnym, małomównym olbrzymem, starszym od reszty chłopców; nie miał wykształcenia, ale za to dobry charakter, do kobiet odnosił się równie dobrze, jeżeli nie lepiej niż większość z nich. W Oddziale nie było snobizmu. Ojcowie czy dziadowie jego członków także dorobili się pieniędzy, zacząwszy od małej własności wiejskiej. Co więcej, Abel był najlepszym strzelcem w organizacji; trafiał w oko wiewiórki z odległości siedemdziesięciu pięciu jardów, ponadto znał dobrze życie obozowe, umiał rozpalać ogniska podczas deszczu, tropić zwierzynę i znajdować wodę. Organizacja ceniła te wszystkie zalety – Wynder był powszechnie lubiany, mianowano go więc oficerem. Abel nosił tę godność z powagą, jak gdyby słusznie mu się należała, i nie okazywał żadnej zarozumiałości. Jednakże żony plantatorów i ich niewolnicy nie mogli przejść do porządku dziennego nad faktem, że Wynder nie urodził się dżentelmenem – o czym mężczyźni zupełnie nie pamiętali.

Początkowo do Oddziału należeli wyłącznie synowie plantatorów, dżentelmeni, z których każdy miał własnego konia, własne uzbrojenie, ekwipunek, mundur i ordynansa. W nowym hrabstwie claytońskim bogatych plantatorów było jednak niewielu, aby więc sformować pełen oddział, trzeba było rekrutów zbierać spomiędzy synów małych farmerów, leśniczych z głębokich lasów, traperów z moczarów, małorolnych i w bardzo nielicznych wypadkach nawet „białej nędzy".

Małorolni z równym zapałem rwali się do walki z Jankesami jak ich bogatsi sąsiedzi, ale od zaciągnięcia się do Oddziału wstrzymywała ich kłopotliwa sprawa finansów. Nie wszyscy drobni farmerzy mieli konie. Do prac rolnych używali mułów, a i tych nie mieli wiele, rzadko więcej niż cztery. Farmy nie mogły obyć się bez mułów, nawet na wypadek gdyby komenda Oddziału chciała je przyjąć – a tego robić nie chciała. „Biała nędza" zaś uważała się za dobrze sytuowaną, jeżeli miała choć jednego muła. Ludzie z głębi lasów i traperzy z moczarów nie mieli ani koni, ani mułów i żyli wyłącznie z płodów swojej ziemi lub z łowów. Trudnili się

przeważnie handlem wymiennym i rzadko miewali więcej niż pięć dolarów w gotówce rocznie, konie zatem i umundurowanie były dla nich niedostępne. W ubóstwie swoim byli jednak równie hardzi, jak plantatorzy dumni ze swego bogactwa, i nie przyjęliby od swoich zamożnych sąsiadów niczego, co mogłoby wyglądać na zapomogę. Tak więc, aby nie razić niczyich uczuć, a doprowadzić Oddział do właściwego stanu liczebnego, ojciec Scarlett, John Wilkes, panowie Munroe, Tarleton i Calvert – słowem wszyscy wielcy plantatorzy hrabstwa, z wyjątkiem Angusa MacIntosha – złożyli datki pieniężne na wyposażenie Oddziału w konie i mundury. W rezultacie więc każdy plantator podjął się wyposażenia nie tylko swoich synów, ale i pewnej liczby obcych. Zrobili to w taki sposób, że mniej zamożni członkowie Oddziału mogli przyjąć konie i mundury bez uszczerbku dla honoru.

Oddział zbierał się dwa razy w tygodniu w Jonesboro, aby ćwiczyć i wzdychać do co rychlejszego wybuchu wojny. Jak dotąd wciąż jeszcze brakowało koni, ale ci, którzy konie już mieli, odbywali, jak im się zdawało, „manewry" na łące za gmachem sądu, wzbijali wielkie tumany kurzu, wrzeszczeli co sił w płucach i wymachiwali szablami z czasów wojny o niepodległość, zdjętymi ze ścian salonów. Ci, którzy koni nie mieli, siedzieli na schodkach przed składem Bullarda i przyglądali się konnym kolegom, żując tytoń i opowiadając anegdotki. Czasem też urządzali konkursy strzelania. Żadnego z członków Oddziału nie trzeba było strzelania uczyć. Mężczyźni Południa przychodzili niejako na świat z pistoletem w garści, a lata spędzane na polowaniach czyniły z nich wyborowych strzelców.

Z domów plantatorów i chat na moczarach do każdego przeglądu przedstawiano najdziwaczniejsze rodzaje broni. Były tam fuzje, których młodość przypadała na okres pierwszego przekroczenia Gór Allegańskich; stare muszkiety, które miały na sumieniu niejednego Indianina w czasie kolonizowania Georgii, pistolety do siodeł z roku 1812, z wojen z Seminolami i z Meksykiem, okute srebrem pistolety do pojedynku, małe kieszonkowe derringery, dubeltówki i piękne angielskie karabiny o polerowanych kolbach.

Musztra kończyła się zawsze w szynkach Jonesboro i o zmierzchu wynikało tak wiele bójek, że oficerom z trudem przychodziło zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, do czasu gdy przeciwnikami w walkach będą Jankesi. Właśnie podczas jednej z takich burd Stuart Tarleton postrzelił Cade'a Calverta, a Tony Fontaine – Brenta Tarletona. Bracia w tym czasie siedzieli w domu, bo świeżo ich wyrzucono z uniwersytetu w

Wirginii; do organizującego się Oddziału przystali z entuzjazmem; po tym epizodzie jednak, przed dwoma miesiącami, matka wysłała ich na inny uniwersytet i surowo nakazała tam siedzieć. Bardzo brakowało im wzruszeń musztry i uważali, że nie warto się kształcić zamiast jeździć konno, krzyczeć i strzelać z karabinu w towarzystwie kolegów.

– No dobrze, jedźmy zatem polami do Abla – zdecydował Brent. – Jeżeli pojedziemy przez bród koło Tary i pastwisko Fontaine'ów, dostaniemy się tam bardzo szybko.

– Dadzą nam do jedzenia najwyżej pieczeń z oposa i kapustę – sprzeciwił się Jeems.

– Ty w ogóle nic nie dostaniesz – Stuart się zaśmiał – bo pojedziesz do domu i powiesz mamie, że nie będziemy na kolacji.

– Nie, nie pojadę! – wykrzyknął Jeems w przerażeniu. – Nie chcę! Wcale mi się nie uśmiecha spotkanie z panią Beatrice. Zapyta mnie pewnie, dlaczego dopuściłem do tego, aby paniczów znowu wyrzucono, i dlaczego nie przyprowadziłem paniczów na kolację do domu, aby mogła was wyłajać. A potem zacznie na mnie jeździć jak na łysej kobyle i w końcu to ja będę wszystkiemu winien. Jeżeli mnie panicze nie zabiorą do pana Wyndera, to zostanę na noc w lesie. Złapie mnie pewnie patrol, ale wolę, żeby mnie patrol zabrał, niż rozmawiać z panią Beatrice, kiedy jest zła.

Bracia spojrzeli na młodego Murzyna z zakłopotaniem i oburzeniem.

– Rzeczywiście jest tak głupi, że może wpaść w ręce patrolu, a to dałoby mamie znowu temat na całe tygodnie. Przysięgam, że z tymi Murzynami to tylko kłopot. Czasami wydaje mi się, że abolicjoniści mają słuszność.

– Nie byłoby sprawiedliwe, gdybyśmy Jeemsa skazali na to, czemu sami boimy się spojrzeć w oczy. Będziemy go musieli zabrać ze sobą. Ale słuchaj, ty bezczelny czarny głuptasie, jeżeli będziesz mi się puszył przed Murzynami pana Wyndera i opowiadał im, że my stale jadamy drób i szynkę, podczas gdy oni mają tylko króliki i oposy, ja powiem mamie o wszystkim. Poza tym, nie pojedziesz z nami na wojnę.

– Ja miałbym się puszyć? Ja… przed tymi tam tanimi Murzynami? Nie, proszę panicza, ja mam lepsze maniery. Pani Beatrice uczyła mnie manier tak samo jak wszystkich paniczów.

– Nie doczekała się pociechy z tych swoich nauk! – Stuart się zaśmiał. – Chodźcie, ruszamy.

Zawrócił wielkiego kasztana i spinając go ostrogami, lekko przeskoczył przez płot na miękką ziemię plantacji Geralda O'Hary. Za nim sko-

czył Brent, a na końcu Jeems, trzymając się kurczowo kuli i grzywy swego konia. Jeems nie lubił przesadzać płotów, ale dla dotrzymania kroku swoim panom przeskakiwał już niejednokrotnie i przez wyższe.

Gdy w gęstniejącym mroku kierowali się między czerwonymi skibami w dół wzgórza ku rzece, Brent krzyknął na brata:

– Słuchaj, Stu! Czy nie zdaje ci się, że Scarlett chciała nas zaprosić na kolację?

– Byłem pewny, że nas zaprosi! – odwrzasnął Stuart. – Co jej się mogło stać?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.